

Kosmiczne świętowanie

Tegoroczne rekolekcje wielkopostne poprowadził o. Wacław Oszajca, jezuita z Warszawy, poeta, publicysta, dziennikarz, wykładowca akademicki. Poprosiliśmy Go o chwilę rozmowy.

Głos Pocieszenia: Z informacji, które znalazłem w internecie na Ojca temat, dużo czasu zajęłoby samo wymienianie funkcji i zadań, jakich się Ojciec podejmuje - ksiądz, zakonnik, autor wierszy, prozy, teolog, dziennikarz, publicysta, poeta, wykładowca. Kim w tej chwili Ojciec czuje się najbardziej? Co jest dla Ojca w życiu najważniejsze?

Ojciec Wacław Oszajca SJ: Myślę, że to samo, co dla każdego człowieka. Po pierwsze, to Pan Bóg mnie człowiekiem stworzył, w związku z tym mam się interesować tym światem, w którym żyję. Natomiast wszystko inne z tego wynika. Na różne sposoby robię to samo - czy w Kościele, czy na uniwersytecie, czy pisząc. Próbuję jakoś opisać tę rzeczywistość w której jesteśmy z uwzględnieniem, oczywiście, jako człowiek wierzący - Pana Boga. Mam tę sama robotę, co każdy inny, tylko, że czasem potrafię ująć to w wiersz lub w kazanie, a innym razem w wykład. Tak to się jakoś ułożyło. Nie jest tak, że raz czuję się tym, a innym razem tamtym - nie, to są po prostu różne sposoby robienia tego samego.

Zazwyczaj kojarzymy Wielki Post z umartwieniem, wyciszeniem, a Ojciec mówi i podczas rekolekcji, i w komentarzach na ten czas, jakie np. można znaleźć w „Tygodniku Powszechnym”, że Wielki Post to okres radosny. Skąd to się bierze, jak to odczytywać?

Jest to nawiązanie do starszej tradycji, niż ta, którą my żyjemy. Jeśli będziemy zwracać uwagę tylko na to, co jemy, a czego nie jemy, czy chodzimy na zabawy, czy też nie, to w gruncie rzeczy będziemy zajmować się sobą. Tymczasem stara nazwa okresu Wielkiego Postu miała w sobie takie słówko, jak : chwalebne. Czyli ten czas jest rozważaniem chwalebnej męki naszego Pana Jezusa Chrystusa i oczywiście zmartwychwstania. Jeśli będziemy zajmować się sobą, to utkniemy w miejscu, bo w każdym z nas znajdzie się jakiś cień. Natomiast, jeśli zajmiemy się Panem Bogiem, to wtedy „chwycimy” też inne patrzenie na nas. Nasza słabość i grzeszność będzie nas zasmucać, ale z drugiej strony będziemy widzieli, że jest Ktoś, Kto na nas - takich, jakimi jesteśmy - liczy, Komu na nas ogromnie zależy. Że bez nas nie potrafi żyć i nie dlatego, iż chce, byśmy Mu służyli. On chce, abyśmy z Nim współpracowali, współdziałali, po prostu ulepsiali tę rzeczywistość, ten nasz świat. A jeśli tak jest, to jest się z czego cieszyć. Owszem, w Wielkim Poście pokazuje się cała marność, zwłaszcza zła, różnych naszych złudzeń, płonnych nadziei, a z drugiej strony pokazuje się, jak silne, wszechmocne potrafi być to, co dobre, bo to, co dobre zawsze musi zwyciężyć. Stąd zarówno Wielki Post, jak i Adwent, mają ten akcent, który moim zdaniem przeważa - przynoszący człowiekowi radość, a nie tylko zasmucenie.

W rozważaniu, o którym wspominałem była jeszcze mowa o tym, że wyzwalając się z naszych grzechów, z tego, co nas uwiera, powinniśmy się cieszyć, widząc lepszą perspektywę – bycia wolnymi. I wtedy Wielki Post autentycznie wprowadza nas w Święta Paschalne.

Tak, dobrze pan to ujął. My nie jesteśmy czymś wykończonym, do końca zbudowanym, gdzie tu i ówdzie trzeba coś tylko poprawić. Człowiek jest w nieustannym rozwoju, my się nieustannie **stajemy** ludźmi, i dobrze, że ludźmi - nie uwsteczniamy się. Cała mądrość i urok chrześcijaństwa polega na pamiętaniu o tym, że dzisiaj człowiek może dopuścić się straszliwej zbrodni, ale z tego

wcale nie wynika, że jutro musi on być taki sam. Nie jest tak, że to, co nam się dziś przydarza, całkowicie nas przekreśla i w jakiś sposób kompromituje. Przeciwnie, to doświadczenie własnej, nieraz bardzo dogłębnej słabości, i to, że zeświniliśmy się do ostatka, może być dla nas ogromnym zyskiem i powiedziałbym - błogosławieństwem, tak jak w przypadku króla Dawida. Pamiętamy - przecież on rozbija małżeństwo, zabiera żonę jednemu z dowodzących wojskami, a zarazem przyjacielowi i doprowadza do jego śmierci. Jeden podły czyn pociąga za sobą kolejny, jeszcze podlejszy. A przecież dzień po dniu modlimy się psalmami, które napisał Dawid. Zatem nasza wiara w człowieka nie polega na tym, iż wierzymy, że człowiek jest zawsze dobry, wspaniały, cudowny i pełen sukcesów. Taki może być, ale bywa też, że jesteśmy absolutnym zaprzeczeniem wszystkiego. Z tego nie wynika, że musimy tkwić w tym bagnie.

Perspektywa eschatologiczna, perspektywa zmartwychwstania i przyszłego życia zawsze jest przed nami, jak również to, że zawsze możemy się z tego bagna wydobyć.

Można powiedzieć, że ta perspektywa eschatologiczna, to jest nasza terażniejszość. My nieustannie dorastamy do tego, co jest istotą naszego człowieczeństwa, czyli podobieństwa do Pana Boga. Jesteśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Boga. Więc można powiedzieć, że to nasze umieranie i zmartwychwstanie dzieje się już dzisiaj - umrzeć to przestać istnieć dla czegoś, dla kogoś, i to się dzieje codziennie. Jeśli „odklejamy” się od tego, co w nas niekoniecznie złe i grzeszne, ale małe, niewystarczające, i porywamy się na większe rzeczy, to umieramy dla naszej przeszłości, a zaczynamy zmartwychwstawać, żyć dla tego, co trudniejsze, ładniejsze. Tak jak w szkole - ósma klasa jest trudniejsza od klasy pierwszej. A w naszej codzienności - początek życia w małżeństwie, początek życia w zakonie odpowiada naszym marzeniom, wyobrażeniom, a później czas pokazuje, że najtrudniejsze i najpiękniejsze było wciąż przed nami, a nie na samym początku. Za to późniejsze płaci się wyższą cenę, nie ma ratunku.

To jest dość optymistyczne twierdzenie: to, co dobre jest jeszcze wciąż przed nami.

My rozpaczamy nad śmiercią dziecka, młodego człowieka - i słusznie. Tyle tylko, że wtedy bardziej płaczemy nad sobą, niż nad tym dzieckiem, czy młodym człowiekiem, bo płaczemy nad zmarnowanymi szansami, możliwościami. Myślę, że równie gorzko trzeba płakać nad człowiekiem starym. Weźmy człowieka, który przeszedł przez życie, zebrał ogromne doświadczenie życiowe, np. profesora - kiedy najwięcej wie, kiedy mógłby najwięcej zrobić, to przychodzi skleroza, Alzheimer, Parkinson, czy zwykły starczy uwiąd i wszystko, jak gdyby się rozwała, idzie jak gdyby w nicość. Stąd ta perspektywa jest nam potrzebna, aby bronić się przed taką wiarą, która nie dodaje człowiekowi skrzydeł, która człowieka nawet przygniata - że to wszystko na nic, że przemija i jest nic niewarte. A tak nie jest.

Czy Ksiądz przyjął jakiś schemat tych rekolekcji?

Jesteśmy w kościele, gdzie na chórze widnieją wciąż róże Lutra – znak rozpoznawczy Kościoła ewangelicko-augsburskiego, w mieście związanym w przeszłości z kulturą niemiecką, więc może będzie sensowne pomyśleć o Stole Pańskim do którego wciąż niestety zasiadamy oddzielnie. Jako myśl przewodnią przyjąłem Mszę św. Wokół niej buduję wszystko inne, zgodnie zresztą z „Konstytucją liturgiczną o Kościele”, wg której Msza św. jest szczytem chrześcijańskiego życia i jego źródłem. Ale życie się we Mszy św. nie wyczerpuje. Od Mszy zaczynamy i na niej kończymy, ale między początkiem a końcem jest innego rodzaju Msza - codzienności, naszego świeckiego życia. Wokół tego buduję te 3 dni rekolekcji.

Pierwszego dnia dużo było o radości Wielkiego Postu.

Tak, i liturgia Słowa. Drugiego - następna część Mszy św., czyli liturgia Eucharystii, a ostatniego, z drobnymi odchyłkami od programu, bo odbędzie się bierzmowanie, ale myślę, że tradycyjnie, jak to robią rekolekcjoniści, ostatni dzień poświęcają pierwszej chrześcijance, czyli Maryi, więc spróbujemy przez Jej życiorys popatrzeć na to, jak to jest z nami. Ona pierwsza uwierzyła Chrystusowi, więc my próbujemy w jakiś sposób iść tą samą drogą. Warto popatrzeć, jak inni przed nami, łącznie z Maryją, szli tą samą ścieżką.

Dzisiaj powiedział Ojciec takie ciekawe zdanie, iż bolejemy nad tym, że żyjemy czasami krócej, nawet za krótko, że nasze życie pełne jest udręki, a tymczasem z każdym dniem naszego ziemskiego życia żyjemy nie krócej, ale dłużej i za to Panu Bogu powinniśmy dziękować.

To jest prosty rachunek. Jeśli w ubiegłym roku miałem 62 lata, to w tym będę miał 63, a więc 63 to jest więcej niż 62 - tego uczą już w szkole podstawowej. Nie mogę więc zaprzeczyć, że żyłem dłużej - kwestia tylko tego, w jakiej perspektywie żyję, jaki przyjmę punkt patrzenia na ten czas. Jeśli wierzę, że nie idę ku przepaści, tylko ku dalszemu życiu, to moje życie krótsze czy dłuższe, mierzone latami, przybliży mnie do wieczności, do tego odcinka życia, gdzie być może czas nadal istnieje - któż to wie? My tego nie wiemy, ale jest to czas już przeżywany inaczej. Trudno przyjąć, że ta rzeczywistość, którą my nazywamy niebem, jest zamrażarką czy czymś stabilnym, nieruchomym. Skoro Bóg jest Życiem, to nie sposób sobie wyobrazić inaczej tej przyszłości - Biblia maluje taki obraz, że to będzie uczta, a wiadomo, że na uczcie nie tylko się siedzi i je, ale też chodzi, rozmawia, tańczy, słucha muzyki. Ten obraz wydaje mi się być bliższy temu, o czym my marzymy i co za nami chodzi.

Nie bezruch, ale jakiegoś rodzaju aktywność, życie, to, co na co dzień kochamy, to, co znamy.

Tak. Jan Paweł II powiedział, że wiara, która nie tworzy kultury jest wiarą martwą, wiarą nie w pełni przyjętą i przeżytą. Jest to taka parafraza słów, że wiara bez uczynków jest martwa. Jeśli tak, to kultura - to wszystko o czym marzymy, co próbujemy poznać, a więc nauka, sztuka, praca, zdaje się wskazywać, że wtedy, gdy czujemy niedosyt, gdy nam czegoś brak, ale także, gdy przeżywamy coś pięknego - to wszystko się kończy i pozostaje dalej głód. Byłoby czymś nieludzkim powiedzieć człowiekowi, że ten głód nigdy nie zostanie zaspokojony, że śmierć kładzie kres temu wszystkiemu. To Miłosz powiedział, że: „Kto mówi, że Boga nie ma i jest wesoło, radośnie, ten kłamie, ten oszukuje”. Myślę, że w sztuce jest ogromnie dużo z Ewangelii.

Niepokoi mnie, w kontekście myślenia o życiu przyszłym, samo słowo „zaspokojenie”. Co będzie po tym, jak już wszystkie potrzeby będą zaspokojone – bezruch?

To nie jest dobre słowo, tak samo, jak „wieczny odpoczynek”. Źle nam się może kojarzyć - odpoczynek jest „nicnierobieniem”, dzisiaj, to znaczy tyle, co zupełny marazm. Leżę sobie i na tym koniec - to jest bardzo przyjemne, ale na krótką metę. Trzeba wrócić do tego, co mamy w Piśmie św., a mianowicie powiązać, to, co się nazywa „niebem”, z tym, co się nazywa „ziemią”. Chrześcijaństwo tym się różni od wszystkich innych religii, że nasz Bóg nie mieszka poza czasoprzestrzenią, poza naszym widzialnym światem, że niebo nie jest budowane nad naszą rzeczywistością. My przecież nie spotykamy swojego Boga dopiero po śmierci, w jakimś czysto duchowym „niebie”, przecież pierwsze spotkanie chrześcijan, późniejszych chrześcijan z ich Bogiem - gdzie się dokonało? W łonie kobiety, we wnętrzu kobiety - Maryi. Dochodzi do spotkania między Nią a Bogiem w jej wnętrzu, w jej ciele. Później spotykamy pierwszy raz naszego Boga znowu nie „gdzieś”, tylko w określonym miejscu - w Betlejem. To miejsce da się znaleźć na mapie. Pasterze spotkali Go - w miejscu pracy - bo przecież na pastwisku, mędrcy ze Wschodu znaleźli

początek drogi w swoich badaniach naukowych. Jeśli chrześcijanin chce znaleźć Boga, to nie powinien głowy zadzierać do góry i zerkać poza chmury, bo tam nic nie znajdzie. Najwyżej gwiazdy, księżyc i przestrzeń między nimi. Powinien się wpatrzeć w to, co dzieje się w najbliższej okolicy. Chrześcijaństwo odwraca niejako ten religijny sposób patrzenia na rzeczywistość, nie odrywa człowieka od ziemi, od czasu, od miejsca, w którym człowiek żyje, od ludzi, a przeciwnie - podpowiada człowiekowi, żeby jeszcze mocniej w to wrósł, szukał Pana Boga we wnętrzu tego, co się dzieje. Największym dowodem na to, że Bóg jest tutaj, jest Golgota, czyli Krzyż. To wzgórze prawdopodobnie było śmietnikiem, to była szubienica, miejsce kaźni. To co najpiękniejsze o Panu Bogu, tam się właśnie objawiło - dlatego chrześcijanin, to człowiek, który wie, że niebo jest wbudowane w tę rzeczywistość, w której żyjemy albo odwrotnie - ta rzeczywistość jest obudową, jest jakby powierzchnią tego, co się nazywa Bożym Królestwem, niebem, wiecznością. Bóg nie jest jakimś dodatkiem - jak mówi Karl Rahner - chrześcijaństwo nie jest dodatkiem do rzeczywistości, tajemną wiedzą. Jest pewnym sposobem, umiejętnością patrzenia na świat, widzenia i słyszenia Pana Boga w tym, co się dzieje.

Poeci, a Ojciec jest poetą, miewają szczególne intuicje dotyczące życia. Jakie Ojciec ma wyobrażenie życia przyszłego?

Nie próbuję za bardzo sobie wyobrażać tego życia, fantazjować na ten temat, ale z drugiej strony jestem daleki od tego, by mówić, że my nic nie wiemy, bo to nieprawda. Trudno powiedzieć, żebyśmy już byli w niebie, ale bywamy tam, i to częściej, niż człowiek zdaje sobie z tego sprawę. Sądzę, że każde dobre przeżycie, to, co się nazywa się szczęściem, to, co się nazywa nawet zadowoleniem - pozwala nam smakować, po części poznawać klimat nieba. Oczywiście poznawać, jaki może być świat, jaka może być rzeczywistość, jeśli dojdzie do pełniejszego rozwoju, do tego, do czego Pan Bóg prowadzi całą historię świata, historię kosmosu. To niebo otwiera się przed nami w takich właśnie szczęśliwych momentach, ale także w momentach oświecenia. Jeśli ktoś pracuje naukowo, chodzi, myśli, docieka, i nagle pewnego dnia doznaje olśnienia - to jest właśnie jakiś rodzaj objawienia. Lub też oglądając program w telewizji czy słuchając radia nagle zdajemy sobie sprawę, że myślimy tak samo, albo nawet lepiej niż dotąd - i odczuwamy zadowolenie, że ktoś pomógł nam w zrozumieniu tego, co się dotąd inaczej rozumiało. Są takie momenty, które można określić przeżywaniem nieba. Nasza intuicja, nasze marzenia, wyobrażenia, są bardzo cenne i one nas nie okłamują. Bez tego nie ma żadnego postępu w technice, bo można np. znać zasadę budowy domu, ale, żeby to był piękny budynek, musi mieć coś więcej - musi mieć duszę, czyli to „coś” w sobie, czego się nie da wyliczyć przy pomocy matematyki, aczkolwiek matematyka pozwala stworzyć sensowne proporcje.

Ma Ojciec jakąś receptę na to jak dobrze przeżyć nadchodzące Święta Wielkiej Nocy?

Myślę, że trzeba zacząć od Niedzieli Palmowej, bo to jest niedziela Męki Pańskiej - taka jest jej liturgiczna nazwa. Niedziela Palmowa, czyli niedziela Męki Pańskiej i w zasadzie to by wystarczyło. My patrzymy na rzeczywistość z perspektywy życia, a nie śmierci - gromadzi nas w Kościele żywy Chrystus, Ten który przeżył śmierć. Śmierć przeminęła, przeminęło cierpienie. Zatem, jeśli my w niedzielę mówimy o śmierci i męce Pana Jezusa, to mówimy o faktach, które zaistniały, które były, przez które Chrystus przeszedł, ale ani męka, ani śmierć nie pozbawiły nas Chrystusa. W związku z tym Wielkanoc mamy w każdą niedzielę, a niedziela Męki Pańskiej, Niedziela Palmowa ma o tyle szczególny charakter, że zaczyna się obchód wspomnienia sprzed prawie 2000 lat. Poźniej Wielki Czwartek - święto Kościoła, święto wszystkich ochrzczonych, mówi się, że jest to dzień ustanowienia Eucharystii i sakramentu kapłaństwa. Nie wolno jednak kapłaństwa zawężać do tych trzech stopni, a więc do diakonatu, prezbiteratu

i biskupstwa. Kapłanami jesteśmy wszyscy - każdy chrześcijanin jest kapłanem. Każdego ochrzonego Chrystus łączy ze sobą i przez każdego ochrzonego głosi Ewangelię na różne sposoby. Jeśli uczymy w domu dziecko czytać Pismo św. razem z nim czytając, to cóż to jest innego, jak nie głoszenie Ewangelii - w inny sposób, niż ja to robię w Kościele, na ambonie. Więc jest to święto Kościoła, święto jakby trochę nasze wewnętrzne, nas - chrześcijan. Z kolei Wielki Piątek - i tu odwołałabym się do tradycji protestanckiej i anglikańskiej - protestanci, a zwłaszcza anglikanie, w Wielki Piątek odprawiają nabożeństwa, tak samo, jak i my, ale nieraz to są potężne koncerty. Chóry, orkiestra, i myślę, że należałoby coś z tego zrobić u nas w Kościele, żeby nie zatrzymywać się tylko nad fizycznym cierpieniem, nawet na cierpieniu duchowym czy psychicznym, ale by pokazać zwycięstwo Chrystusa nad złem, które w taki, czy inny sposób nas dotknęło. To ma być dzień chwalebnej męki, a więc takiej, która ma w sobie jakieś piękno. To nie jest tylko obrzydliwość, potworna krzywda wyrządzona Chrystusowi przez nas - ludzi. Choć jest to prawda, ale istnieje coś ważniejszego: jak Chrystus reaguje na to, co my mu wyrządzamy? Nie odpycha nas, usprawiedliwia przed Bogiem, tak jak czasem matka usprawiedliwia swoje dziecko przed nauczycielem: „Ojcze przebac im, bo nie wiedzą co czynią”. To właśnie wydobywałbym, aby pokazać dobroć Boga. No i Wielka Sobota - byłoby dobrze, gdyby liturgia zaczęła się późnym wieczorem.

W naszej archidiecezji oficjalnie nakazane jest przez księdza arcybiskupa rozpoczynanie liturgii Wigilii Paschalnej najwcześniej o 21.30, i zaraz po tym procesja rezurekcyjna.

To jest bardzo mądre, dobre i sensowne. Dlaczego? Tak jak Wielki Czwartek to było nasze święto wewnętrzne, kościelne, tak, jak w Wielki Piątek troszkę wyszliśmy z naszego kościoła, idziemy w kierunku wielkiej muzyki, wielkiej poezji, wielkiego śpiewu, żeby pokazać dobroć Boga - tak w sobotę wieczorem i w niedzielę do świtu, prawie do rana - idziemy jeszcze dalej. Ta liturgia ma charakter kosmiczny, nie tylko ogarnia naszą parafię, kościół, innych ludzi, ale ogarnia całą rzeczywistość, cały wszechświat, bo przecież w liturgii uczestniczy ogień, uczestniczy woda, także to, co rodzi ziemia - pokarmy, które święcimy. Cała rzeczywistość jakby wraca na swoje miejsce, stworzenie świata odbywa się jakby na „nowo”, a jednak wcale nie na nowo, bo przecież Pan Bóg cały czas świat stwarza - świadczy o tym choćby ewolucja, i to, co odkrył Darwin. My sobie i innym o tym przypominamy, że ten świat nie wymknął się Panu Bogu z rąk, ale dalej się rozwija, dalej idzie ku doskonałości i naszym szlachetnym powołaniem jest wspieranie tego procesu, pielęgnowanie tej ziemi, żeby ona się nie zatraciła i abyśmy jej nie zniszczyli. No i kiedy w końcu pokażemy tę kosmiczną liturgię, światło paschału, a więc przynosimy inne rozumienie tej rzeczywistości - upewniamy siebie i innych ludzi, że ostatnie słowo będzie należało do życia, a nie do śmierci pojmowanej jako unicestwienie. Również śmierć, jeśli patrzymy z perspektywy Wigilii Nocy Paschalnej, została przez Pana Jezusa zbawiona od złego - ona wcale nie musi nas unicestwiać, rozbijać, wprowadzać w destrukcję, a przeciwnie - jako zbawiona zatraciła ten swój niszczycielski jad i staje się czymś innym - widzimy, że na krzyżu jest to wyznanie miłości. Miłości do ludzi objawiającej się w tym przebaczeniu: „Przebac im, bo nie wiedzą, co czynią”, i miłości do Pana Boga: „W Twoje ręce oddaję mego ducha”. Liturgia Wielkiej Nocy, wigilii czuwania, określa nam, układa nasze myślenie właśnie w ten sposób, pomaga spojrzeć od tej lepszej jej strony.

Czasami nasze świętowanie Wielkiej Nocy to procesja rezurekcyjna, śniadanie, pierwszy i drugi dzień świąt. Okres wielkanocny trwa dalej, ale z naszym świętowaniem jest jakoś tak mizernie. Poprzedni proboszcz, o. Ziótek, podczas rezurekcyjnego kazania wręcz zabraniał wszelkiego postu podczas okresu wielkanocnego. Czy nie powinniśmy w czasie Pięćdziesiątnicy w szczególny sposób zaznaczać naszej radości ze Świąt Wielkanocnych, ze Zmartwychwstania?

Można by przyjąć, jeśli chodzi o liturgię pewien zwyczaj czy sposób zachowania na Mszy św., wzięty od prawosławnych albo od grekokatolików - w okresie paschalnym się nie klęka, (w ogóle w cerkwi rzadko się klęka), ponieważ klękanie to jest postawa niewolnika, postawa kogoś podporządkowanego, a więc widzenie kogoś drugiego, jako bezwzględnie pana, który panuje nad mną. Można by więc w okresie wielkanocnym nie klękać, co byłoby takim sygnałem, że chcemy przeżywać inaczej Pana Boga. Ze świętami to jest tak troszkę, jak z urlopem. Jeśli ktoś się bardzo napina i mówi: „no, to będzie urlop mojego życia, jadę do Egiptu; jak ja tam odpocznę; wrócę świeży, pełen sił i energii!”, to raczej na 95% można założyć, że nic z tego nie wyjdzie. Tak samo jest ze świętowaniem - nie powinniśmy wprowadzać ostrych granic między niedzielą, a wszystkimi innymi dniami, z tego względu, że w niedzielę kończymy i zaczynamy tydzień. Czas nadal będzie i nie ma potrzeby wprowadzania takich ogromnych różnic. W Wielkim Tygodniu trzeba nam się strzec takiej pobożności i takiej ascezy, która podcina skrzydła człowiekowi, bo nic nam nie dadzą jakieś bardzo ostre posty. Tak było z Ignacym z Loyoli - po swoim nawróceniu wpadł na pomysł, że będzie wielkim ascetą i będzie ograniczał bardzo jedzenie co do ilości i co do jakości, przestał się myć i obcinać paznokcie. Pan Bóg wie jednak co robi, bo zesłał na niego chorobę żołądka, więc Ignacy doszedł do wniosku, że takie bardzo ostre praktyki ascetyczne trzeba zostawiać doskonalszym od nas, a zająć się robotą, która włoży nam w ręce tak na co dzień. I to chyba jest nienajgorszy pomysł, również na świętowanie.

Ojciec jest człowiekiem medialnym, nie boi się Ojciec wypowiedzenia nawet dla takich mediów, które uznaje się za niezbyt przychylny Kościołowi. Można czasami zobaczyć też Ojca w telewizji. Czy takie otwarcie procentuje wobec tych ludzi, w stosunku do których ksiądz się wypowiada, czy lepiej do nich dociera to, co Ojciec mówi?

Tego nie wiem. Jestem jednak człowiekiem wygodnym, więc się nie pcham przed kamerę czy mikrofon, ale rozmawiam z każdym, kto chce ze mną rozmawiać. Jeśli chodzi o media, muszę uważać, żeby ktoś mnie nie wykorzystał, bo nasze media są bardzo nierówne. Niemniej, jeśli mam pewność - ona nigdy nie jest 100-procentowa, że to, co powiem, będzie wydrukowane, wyemitowane w radio czy telewizji, to nie przeszkadza mi rodzaj tego medium. Uważam, że przede wszystkim trzeba się zająć i iść do tych ludzi, którzy mają do nas pretensje, cały szereg zarzutów - słusznych lub nie, czy są nawet naszymi wrogami. Jeśli nagle ktoś chce rozmawiać, to jest już dużo. To jedna rzecz. A druga to efekt rozmowy - a tego, nie znam, ale też nie wiem, co zostaje po kazaniu na ambonie, kiedy mówię do ludzi, którzy przyszli na Mszę i na kazanie. Czasem po latach dopiero człowiek mimochodem czegoś się dowie i to jest ciężkie i przykre, że nie widzi się efektów swojej pracy. Jeśli nawet jest tak, że jest się wziętym kaznodzieją, to z tego wcale nie wynika, że jest się dobrym kaznodzieją. Bo „biada wam, jeśli wszyscy ludzie chwalić was będą”. Jeśli chodzi o media, całe nasze nieszczęście może nie polega na tym, co ten czy ów mówi w tych mediach, tylko na nieumiejętności odbioru, korzystania, zwłaszcza z tych nowszych - radia czy telewizji. Dawniej było tak, że co w *radio powiedziano*, to była święta prawda, co pokazali w telewizji, to było jeszcze świętszą prawdą. Dzisiaj tak nie jest. Łapie mnie dziennikarz i mówi, że mam do dyspozycji 3 minuty na wypowiedź w jakiejś tam sprawie, więc muszę się w tych 3 minutach zmieścić, nie ma rady. I nie mogę nawet narzekać i wybrzydzać bo 3 minuty w telewizji to jest cała wieczność, ogromnie dużo czasu. Wypowiadam się do kamery czy mikrofonu, potem jest to montowane, więc tylko w części ponoszę odpowiedzialność za to, co widz lub słuchacz otrzymał, ponieważ nastąpiła ingerencja w to, co mówiłem. Bardzo często ludzie mają pretensje do nas, występujących, biorących udział w audycjach, w programach czy piszących w gazetach, że to co tam jest opublikowane to herezja, coś niespotykanego, niesłychanego, wręcz bulwersującego.

Owszem, bywa że występujący plecie głupstwa, ale bywa i tak, że problem nie leży tylko po jego stronie. To jest problem tego, który odbiera i nie rozumie faktu, iż media mówią różnymi językami. Co innego, kiedy mam materiał informacyjny, tzw. newsa, czyli wiadomość, że na takiej, a takiej ulicy coś się wydarzyło określonego dnia i ktoś tam zginął - więc jeśli bym napisał, że nie jeden człowiek zginął, ale pięcioro się urodziło, nie na tej ulicy, tylko na innej, że nie o 15.00 tylko o 3.00 - wtedy można mieć do mnie pretensje, jako dziennikarza. Natomiast, jeśli nie powiedziałem, że tam występowały jeszcze inne, drobniejsze sprawy, to o to nie można mieć pretensji, bo ja daję pierwszy sygnał, pierwsze informacje - jeśli cię to człowieku interesuje, to sięgasz po komentarze, po publicystykę, a tam liczą się już poglądy autora. Dlatego ten sam fakt będzie inaczej naświetlany w „Rzeczpospolitej”, inaczej w „Gazecie Wyborczej”, a jeszcze inaczej w każdym innym dzienniku. Inaczej się nie da - jeśli chce się mieć jakiś obraz świata, to nie wolno poprzestać na jednej gazecie. Trzeba korzystać z paru źródeł. Mało tego - jeśli jeszcze mam niedosyt, nie wystarcza mi, sięgam po tygodniki, czy nawet miesięcznik, ale to już jest oddzielna sprawa. Mało tego - dochodzą jeszcze najnowsze media - jadę do pracy, wsiadam do auta, włączam radio i już mam pierwszy komunikat, dzienniki mówią mi co się dzieje. Jeśli to mnie zainteresuje, sięgam po internet - stąd też ten nasz świat nie na darmo nazywa się światem informacyjnym, światem komunikacji medialnej. Dostęp do rzeczywistości mamy przez media, przez to, co ktoś nam dostarczył, a informacje zawsze będą w jakiś sposób ułomne, z tego względu, że dziennikarz zachowując etykę dziennikarską może nam zasygnalizować, może nam próbować wyjaśnić fakty, ale będzie to zawsze jego punkt widzenia. I trudno mieć o to do niego pretensje.

Życzę Ojcu dużo zdrowia, bo wiem, że były z nim ostatnio kłopoty. I dobrego przeżycia czekających nas dni, tego święta wewnętrznego, kapłańskiego, kościelnego, lokalnego i tego świętowania kosmicznego, rozciągniętego na całe Ojca życie.

Dzięki lekarzom i Panu Bogu radzę sobie. To wszystko się splota - nie jesteśmy w stanie inaczej opowiedzieć świata, jak opowiadając fragmentami, no, a jeśli chodzi o całość - na taką wizję musimy trochę poczekać.

W imieniu Głosu Pocieszenia rozmawiał Bogdan Szyszko; współpraca Agnieszka Król